

# WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.

## VAN DYCK.

Stare miasto flamandzkie Antwerpia obchodzi obecnie 300-ą rocznicę urodzin swego wielkiego malarza Van Dycka. W roku zeszłym czytelnicy „Wieczorów” zapoznali się z historią malarstwa naszego, ale i o cudzoziemskich mistrzach trzeba coś wiedzieć; otóż z powodu jubileuszu, podajemy portret tego wielkiego artysty flamandzkiego, którego dzieła zna i podziwia dotąd cały świat cywilizowany, również, jeden z najpiękniejszych jego obrazów, przedstawiający dzieci króla angielskiego, Karola I-go i kartkę z jego życia.

— Kochany, drogi Jakóbie, otwórz nam pracownię mistrza, błagamy cię!

Z temi słowy kilkunastu młodzieńców otoczyło starego sługę, który zajęty był mieszaniem farb w przedpokoju jednej z najwspanialszych kamienic Antwerpii.

— Dałem sobie słowo, że nie otworzę, moi panowie — odpowiedział Jakób — a com sobie przyrzekł, tego dotrzymam.

— Lepiej dotrzymujesz słowa sobie, niż drugim! — odpowiedział jeden z chłopców z ironią — mówią, że codzień przysięgasz twojej matce, że już nie będziesz pił piwa, a co wieczór wracasz podchmielony do domu.

— Pst, to wszystko plotki, panie Diepenbeke; a zresztą, choćby to była prawda, to czegoż to dowodzi? Co mają wspólnego piwo i pracownia mistrza Rubensa.

— Nie marudź, Jakóbk — krzyknął inny — otwieraj drzwi, czego się boisz?

— Boisz się! panie Van Dyck, ja miałbym się bać! — odpowiedział starzec, prostując się. — Za młodu służyłem w marynarce, a żaden marynarz nie jest tchórzem. Człowiek, który codzień patrzy śmierci w oczy, który codzień zawiera z nią znajomość...

— Nie zazdroszczę ci tej znajomości, — odparł Van Dyck — ale my chcielibyśmy poznać sposób malowania mistrza Rubensa, i dla tego trzeba nam widzieć rozpoczęte obrazy; widzisz więc, Jakóbie, że powinienes otworzyć nam pracownię.

— Ma pan słuszność — odparł stary sługa — i gdybyście wszyscy, moi panowie, mieli takie chwalebne pobudki, tobym spełnił waszą prośbę, ale... znam was dobrze, otworzę wam drzwi, a wy zamiast malować, zaczniecie się bawić i przewracać wszystko, nic nie uszanujecie. Wczoraj dopiero stłukliście tę małą figurkę z gipsu, jakąś Wenus grecką czy rzymską. Musiałem powiedzieć memu panu, że wiatr ją przewrócił. Nie uwierzył, śmiał się ze mnie i powiedział: „Wiatr, to niemożliwe, wczoraj było tak duszno i gorąco, że oddychać było trudno.” I myśli naturalnie, że to ja ją stłukłem. Nie, moi panowie, nadużywacie mojej dobroci... ani myślę otwierać drzwi.

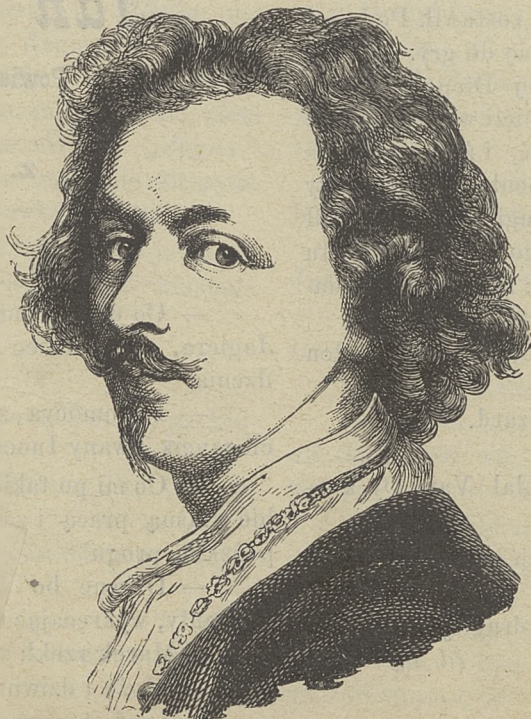
Wtenczas podniósł się krzyk ogólny.

— O Jakóbie! Nie bądź taki srog, daj się wzruszyć.

Potem wśród ogłuszającego hałasu i gwaru słychać było tylko to jedno słowo:

— Klucz, klucz, klucz!

I podczas gdy Jakób podniósł ręce w górę, by sobie uszy zatkać, chłopcy spostrzegli kawałek klucza, wystającego z jego keiszeni. Wyjęli go i otworzyli drzwi pracowni. Stało się to tak





prędko, że Jakób jeszcze ręk od uszu nie odjął, a oni już byli w pokoju.

— Moi drodzy panowie — wołał biedak, zwracając się do każdego z nich po kolei — zaklinam was, miejcie litość nademną i szanujcie tu wszystko; patrzcie, ale nic nie ruszajcie... Obiecujecie mi to, wszak prawda?

Ale oni nie odpowiadali. Jeden oglądał obraz, drugi szkic. Inny badał farby na palecie, jeszcze świeże... Cała gromadka stała przed sztalugami i podziwiała obraz rozpoczęty, przedstawiający Matkę Boską i św. Magdalенę u stóp krzyża.

Wszędzie panowała głęboka cisza.

Widząc tę powagę i to skupienie, Jakób przestał mówić. Nim wyszedł, zwrócił się do chłopca o ciemnych włosach. Był on młodszy od innych, dziecko prawie, ale na twarzy jego malował się zapal młodzieńczy i geniusz.

— Panie Van Dyck — rzekł mu na ucho — polecam się panu. Jesteś najpilniejszy i najrozsądniejszy z całej szkoły, uważaj na nich. Przrzekasz mi?

I kiedy Van Dyck z przyjaznym uśmiechem odpowiedział „dobrze,” staruszek wyszedł z pokoju.

Trzeba im przyznać, że przez chwilę zachowali się wzorowo. Dysputowali poważnie nad kolorytem twarzy, nad wrażeniem, jakie wywołała ta lub owa draperya, nad odcieniami kolorów.

— Co to za mistrz niezrównany! — rzekł jeden z nich.

— A jaką sławę ma na całym świecie — dodał drugi.

— Wiecie panowie — odezwał się trzeci, — że to się rzadko zdarza, aby w jednej osobie łączył się artysta i wielki pan!

— Ojciec mój — rzekł Van Dyck — opowiadał mi kiedyś, że gdy Rubens był ambasadorem w Wiedniu, to pewnego dnia przy obiedzie u księcia Kaunitza, ministra austriackiego, rzekł jakiś magnat do swego sąsiada, gdy chwalono obrazy Rubensa: „Więc ten Rubens to ambasador, który się bawi w malarza?” Casanowa odpowiedział: „Jego dostojność się myli, to jest malarz, który się bawi w ambasadora.”

Podczas tej rozmowy, Ryszard zobaczył w kącie ogromną piłkę, którą tu wczoraj jeden z nich zostawił. Podniósł ją i zaczął się bawić. Inni przyłączyli się do gry. Każdy chciał wziąć w niej udział. Szczególniej Diepenbeka odznaczał się zręcznością. Chłopcy zapomnieli wkrótce, gdzie się znajdują. Poczęli się gonić, mocować, i żaden nie wiedział jak się to stało, dosyć, że Diepenbeka popchnięty przez kogoś, potoczył się i upadł na stalugi. Obraz spadł i Diepenbeka upadł jak długi na niego. Wstaje, a tu krzyk zgrozy wyrwał się z ust wszystkich: ramię św. Magdaleny i całość twarzy Matki Boskiej zatarte!

Po gwarnej zabawie nastąpiła ponura cisza. Jeden patrzył na drugiego z rozpaczą.

— Jesteśmy zgubieni! — rzekł Ryszard.

— Rubens wypędzi nas ze szkoły.

— Ale dokąd pójdziemy? — zawołał Van Dyck — gdzie znajdziemy równego mistrza.

— Mój Boże! co tu czynić, co czynić? — wołali wszyscy razem.

Posypały się rady, jedna gorsza od drugiej.

(d. n.)

## Z powrotem.

Już po wakacjach! Czy to być może?  
Jak ten czas pędzi! jak leci!  
Więc znów już jesień — plóg ziemię orze,  
Do szkoły wracają dzieci.

A poza nimi rozkoszy tyle  
Zostaje w wiejskiej ustroni —  
Ostatnie kwiaty, ptaszki, motyle —  
Owoc na drzewach się płoni.

I ten widnokrąg wolny, szeroki,  
I nieba pogoda jasna...  
Co najpiękniejsze życia uroki —  
A izba szkolna tak ciasna!

Te mury dławią — odetchnąć trudno.  
Darmo się wznosi pierś młoda;  
Oku i myślom przy książce nudno —  
Niedawna nęci swoboda.

A jednak, dziatwo, choć ciasne mury,  
Choć sufit szkolny pierś tłoczy,  
Wysoko wznies tu głowę do góry  
I śmiało puszczaj w dal oczy.

Boć i tu światy dojrzysz przed sobą  
I myślą dosięgniesz szczytów.  
Gdy uznasz pracę życia ozdobą,  
Duszą docleisz błękitów.

Bo chociaż w izbie szkolnej tak ciasno,  
Skrzydła tu rosną młodzieży,  
Na których drogą świetlaną, jasną —  
Śmiało przez życie przebieży.

*Irena Mrozowicka.*

## Jan Niewdźdyd

Powieść z dawnych czasów

przez

**Z. Morawską.**

(Dalszy ciąg).

— Co ci, nie napracujesz się! — ozwał się Marek Jagiera, młodzieniec wytworny lecz bladej i z cechą znużenia.

— I promocya zdarzyć się może... — wycodził inny elegancik, zwany Inocentym Miednieckim.

— Co mi po takiej promocyi, której nie wywalczę sobie własną pracą i zasługą, lecz jak pies wyleżę jeno przy pańskim progu!

— Dziwne bo waszeć masz rezonowanie! — odparł Inocenty, wykręcając się na pięcie.

A Marek rzekł:

— Może i dziwne, a może i prawdziwe!

Inni zaś stosownie do swego usposobienia mówili:



— Może on ma rację, toć lepiejby na szerszem polu szukać zasługi i dobijając się promocji...

— Niż gnuśnieć za piecem, kiedy hetman wojuje...

Lub :

— Jaki skory, krzywda mu siedzieć, czemuż precz nie idzie.

Jeno Marek wypytywał go, jak się wczoraj bawiono, a w parę dni potem rzekł:

— Wiesz, że już królowej jejmości doniesiono o tobie.

— Juści! — rzekł Niewdźd z pewnym naciskiem mazurem, którego się dotąd nie mógł pozbyć.

— Gadano, co w zabawie na Bielanach najzręczniejsz strzelałeś do celu i we wszystkim prym trzymałeś.

— Phi, toć i niewielka zasługa — rozśmiał się Niewdźd.

— Królowa zaś chociaż monarchini, ale ciekawa jako bywa zwykle niewiasta, wysyłała już na zwiady swoje panny, który to taki, ale to wszystko Niemkinie, nie mogą się po ludzku rozmówić! Jeno ta czarna Jewka Zabierzanka, moja krewniaczka, co to bodaj we Wrocławiu była na edukacji, umie z nimi szwargotać i z nami pogadać, więc kiedy dziś przechodziła wraz z innymi przez korytarz, a ja stałem tam właśnie i skłoniłem się, szepnęła:

— Mam waści o coś zapytać.

Ale, że to szły razem z ochmistrzynią, nie rzekła więcej. Stałem, myśląc sobie: O co ona mnie będzie pytać. Aż po chwili przychodzi jeden z lokajów i powiada:

— Mości Marek Jagiera, ochmistrzyni jej królewskiej mości was wzywa.

Zdziwiłem się, aż mi się gorąco zrobiło.

— Czego ona chce odemnie i jak ja się z nią rozmówię — pomyślałem sobie.

— Toć cię nie chcieli upiec, boś chudy, a Niemcy jeno słoninę lubią — zaśmiał się Jasiek.

— Eh, tobie jeno żarty, a ja miałem biedę przez ciebie! — odciął się błady Marek.

— Ale? — zadziwił się Niewdźd.

— Przez kogożby!

Jasiek pokręcił głową z niedowierzaniem.

— Wchodzę tedy, siedzi ochmistrzyni a koło niej Jewka. Skłoniłem się — mówił dalej Jagiera — a Jewka daje mi znaki, głową i uśmiechem, żebym się niczego nie bał. Ochmistrzyni coś rzekła, najwidoczniej do mnie, alem nie nie rozumiał, jeno to wiem, że powiedziała: „Jagier.” Ale Jewka zaraz mi przetłumaczyła, że ona mnie się pyta, czy się nazywam Jagier i czy jestem Jewki krewny.

Tak ja się skłoniłem i powiadam: „Jaa,” bo już przecie wiem, że „tak” to „jaa.” A ochmistrzyni klasnęła w dłonie i zawołała:

— Verstehet, verstehet!

— A Jewka mnie pyta:

— Czy to waszmość byłeś w Zielone Świątki na Bielanach?

— Jako żywo nie byłem! — odrzekłem, i czułem, że mi krew twarz całą oblała.

I znów coś tam rzekła po niemiecku do ochmistrzyni a potem znów mnie spytała:

— A któryż to z was?

— Jan Niewdźd był wczoraj z rozkazu marszałka zamku — odrzekłem.

— Wie? wie? — zapytała ochmistrzyni, i kazała mi raz jeszcze powtórzyć.

— Jan Niewdźd! — rzekłem głośno i dobitnie. To ci powiadam, wtedy była cała uciecha! Jak ci Niemka zaczęła krztusić się, ani weź, nie mogła wymówić twego nazwiska. Powtarzała jej Jewka, aż jej łzy stanęły w oczach, tak się przy tem powtarzaniu wstrzymywała od śmiechu, ani weź, Niemka co zacznie, to się zakrztusi! O mało sobie języka nie pogryzłem, tak mi się śniać chciało — dodał.

Potem zaś ochmistrzyni spytała — ciągnął dalej Marek.

— Johan? nicht wahr?

A Jewka:

— Jaa, Johan!

— A potem to już Jewka wypytywała dla czegoś tam pojechał. Wszystkom opowiedział, jakem słyszał od ciebie samego.

— A teraz szykuj się, pewnie cię wezmą na spytki. A trzymaj się ostro, mnie nie zjedli, bom chudy, ale ciebie, kto wie, boś czerwony, będą myśleli żeś tłusty — dodał, płacąc za żart żartem.

— Juści! — powtórzył po swojemu Jasiek.

I uściskawszy dłoń towarzysza, rozeszli się, stając każdy na swoim miejscu, bo właśnie zaczęli schodzić się rozmaici panowie. Wtedy dworzanie, przeznaczeni do trzymania straży, powinni byli stać w milczeniu, nie mrugnawszy prawie okiem i być w pogotowiu na każde skinienie monarchy lub podkanclerza.

## IX.

Jako rzekł Marek, tak się i stało.

Zaraz jakoś z południa zawezwano Jaśka do ochmistrzyni, gdzie znów Jewka Zabierzanka była tłumaczką.

Musiał im opowiedzieć jak dawno jest na dworze królewskim, co robi, i co robił na Bielanach.

— Jaktó, i król cię wcale nie wzywa? — zapytała ochmistrzyni.

— Snać usług moich nie potrzebuje! — odrzekł Niewdźd układnie, co Jewka dosłownie powtórzyła.

Ochmistrzyni pokręciła głową i powtórzyła to wszystko królowej.

Młody dworzanin, a raczej opowiadanie o jego bohaterskich czynach, zaciekały królowę Eleonorę, bo ta spytała męża:

— Który to dworzanin jest na wyłączne, waszej królewskiej mości rozkazy.

— Nie potrzebuję nikogo, prócz mego starego sługi Jakóba — odrzekł król, zdziwiony zapytaniem.

— Ależ nie, to młody szlachcic, o którego zręczności i sile cuda sobie opowiadają — ciągnęła dalej Eleonora.

— Ja nie znam żadnego — odparł król niechętnie.

— Jaktó nie, przecież mówiono mi, że ten młody szlachcic jest na wyłączne rozkazy waszej królewskiej mości — upierała się przy swoim siostra cesarza.

Król Michał ziewnął szeroko, zasłaniając sobie usta wachlarzem, którego od niejakiego czasu stale począł używać.

Lecz królowa nie łatwo ustępowała, gdy sobie raz coś postanowiła. Teraz właśnie postanowiła sobie poznać owego dworzanina, o którym tyle mówiono. Nie chciała jednak



robić tego na swoją rękę, polityka bowiem dworska nie pozwałała, ażeby królowa dworzan swego małżonka bez jego zezwolenia do jakichś posług używała, lub na pokoje swoje kazała im przychodzić.

Jakkolwiek nie miała wyraźnego rozkazu swego brata do mieszanina się w politykę i sprawy królewskie, wiedziała jednak, że trzeba mieć oczy i uszy na wszystko, nie dając tego poznać.

— Jeżeli jest takim ten młody szlachcic, jak o nim mówią, może się kiedy przydać — myślała sobie.

Głośno zaś opowiadała swemu królewskiemu małżonkowi wszystko, co jej doniesiono o Jaśku i jego popisach na Bielanych.

Zakończyła zaś temi słowy:

— Jeżeli taki zręczny, jak głoszą, możemy go podczas zabawy użyć do jakich popisów. Przerwie to monotoność tutejszego życia i nudy, jakich ja i cały dwór mój na zamku waszej królewskiej mości doznajemy.

Jakkolwiek Michał ze zwykłą obojętnością i napół drzemiąc, słuchał gadaniny swej małżonki, ostatnie jednak wyrazy, wypowiedziane dobitniejszym głosem, rozbudziły go nieco. Uważał więc za stosowne zapytać:

— A jakież nazwisko tego dworzanina, o którego miłościwej mojej małżonce tak chodzi.

— A któż tam wymówi wasze barbarzyńskie nazwisko! — odparła z pewną pogardą.

Król nic nie odrzekł, spuścił tylko głowę i począł według swego zwyczaju, kręcić młynka palcami. Lecz nie obrócił nawet palców dwa razy, gdy Eleonora zawołała.

— Proszę mi wyliczyć nazwiska dworzan, będących do specjalnych usług waszej królewskiej mości.

Żądanie to obojętne na wszystko króla Michała w niemały kłopot wprawiło.

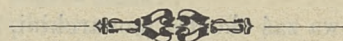
— Ależ ja ich nie znam! — rzekł, opierając się o plecy fotelu z takim znużeniem, jak gdyby pytanie małżonki a następnie odpowiedź, wyczerpała wszystkie jego siły.

— Jakto, wasza królewska mość nie zna nazwisk swoich dworzan przybocznych, a jakże ich wasza królewska mość wołać każesz?

— Nie wołam nikogo — odparł, coraz więcej znużony tą indagacją Michał.

Eleonora wzruszyła ramionami.

(d. c. n.)



Sawel Trzeciński.

## POGADANKI Z ASTRONOMII.

(Dalszy ciąg).

Skutkiem wirowego ruchu ziemi, na równiku powinna też wywierać pewien wpływ siła *odśrodkowa*, czyli mówiąc inaczej, każde ciało powinno ważyć na równiku mniej, aniżeli u biegunów. I tak też jest w rzeczy samej, badania bowiem przekonały, że ciało przeniesione z bieguna pod równik, traci  $\frac{1}{289}$  część swojej wagi.

Takimi są w głównych zarysach teoretyczne dowody wirowego ruchu ziemi.

Nadto jednakże ostatniemi czasy nauce udało się ruch ten uczynić wprost namacalnym, dostępnym naszym zmysłom. Mówimy tu mianowicie o znanem na cały świat doświadczeniu z wahadłem, które to doświadczenie wykonał francuski uczony Foucault w sali paryskiego Panteonu w roku 1851. Zasada tego doświadczenia polega na tej szczególnej, a ściśle udowodnionej własności każdego wahadła, że raz wyprowadzone z równowagi *nie zmienia ono nigdy płaszczyzny swego wahania*, to jest waha się wciąż w jednym kierunku. Wyobraźmy więc sobie, że zawiesiliśmy takie wahadło ponad stolikiem, którego blat obraca się zwolna od strony prawej ku lewej. Ponieważ wahadło nie zmienia wcale kierunku wahania, przeto skutkiem wirowego ruchu stolika, koniec jego musi kreślić na powierzchni blatu coraz to nowe linie.

W zupełnie analogicznych warunkach znajdowałoby się wahadło zawieszone ponad powierzchnią ziemi u samego bieguna. Powierzchnia ta w ciągu 24 godzin dokona pod wahadłem całkowitego obrotu, a więc przejdzie ono kolejno przez wszystkie południki, zakreślając koło w kierunku odwrotnym z wirowym ruchem globu. Rzecz oczywista, że na równiku zjawiska tego nie dostrzeżemy wcale, w szerokościach więc pośrednich dzienne zboczenie płaszczyzny wahania powinno się zwiększać zupełnie prawidłowo w kierunku ku biegunom. Otóż teoretyczne to przypuszczenie sprawdził doświadczalnie Foucault, na olbrzymim

Do pow.

„Trzydzieści lat  
wśród dzikich.”



Rougémont skacze na aligatora.





Z obrazu Van Dycka.

Dzieci Karola I.

wahadle, zawieszonem pod kopułą Panteonu. Doświadczenie, jak powiedzieliśmy wyżej, wydało nadzwyczajnie świetne rezultaty i wahadło zakreśliło w ciągu doby wyraźny łuk, znacząc go swem ostrzem na usypanej piaskiem posadzce. Wielkość zboczenia odpowiadała zupełnie geograficznej szerokości Paryża. W taki więc sposób wirowy ruch ziemi został stwierdzony namacalnie, a hipoteza Kopernika, zyskując tak potężny dowód, stała się nieulegającą już żadnej wątpliwości prawdą naukową.

Przechodzimy teraz do zbadania *postępowego* ruchu ziemi dokoła słońca.

Dostrzeżenie takiego zjawiska, jak kolejna zmiana dnia i nocy, albo też jak dzienny obrót niebieskiej sfery, było rzeczą nader łatwą, ponieważ zjawiska te odbywają się szybko w krótkich okresach czasu. Za to nierównie już trudniejszym było stwierdzenie tego faktu, że słońce nie tylko codziennie wschodzi i zachodzi, ale nadto zmienia położenie swe stanowisko wśród innych gwiazd, zbliżając się ku jednym, a oddalając od drugich. Zbadanie tego ciekawe-

go ruchu wymagało znacznie dłuższego czasu i staranniejszych, a przede wszystkim systematycznie prowadzonych obserwacji. Prawdopodobnie więc upłynęły wieki całe, zanim ludzie przekonali się, że zagadkowe te ruchy naszej gwiazdy dziennej, nie są wcale wypadkowymi, ale odbywają się zupełnie prawidłowo i w pewnym, ściśle określonym kierunku, a mianowicie, że słońce w ciągu roku obiega całą niebieską sferę i przechodząc kolejno od jednego do drugiego gwiazdozbioru, zakreśla na niej zamknięte koło. Gwiazdozbiórów takich naliczono dwanaście, a mianowicie: *Baran, Byk, Bliźnięta, Rak, Lew, Panna, Wagi, Niedźwiadek, Strzelec, Koziorożec, Wodnik i Ryby*. Nazwano je *znakami zwieryńcowymi* (Zodiacus) samą zaś linię, którą zakreśla słońce w swej rocznej wędrówce — *ekliptyką*. Otóż na przykład na początku marca słońce wschodzi jednocześnie z gwiazdozbiorem Ryb i w tym właśnie miejscu horyzontu, gdzie się podówczas ów gwiazdozbiór znajduje. Powiadamy więc, że w marcu „słońce wstępuje w znak Ryb.” W kwietniu, takim gwiazdozbiorem jest Baran,



w lipcu Lew, we wrześniu Wagi, w grudniu Strzelec i t. d.

Dziś, poznawszy naukę Kopernika, wiemy już dokładnie, że całe to zjawisko ruchu słońca wśród gwiazd, jest zjawiskiem złudnem, zależnem od prawa ruchu stosunkowego. W istocie rzeczy słońce nie bywa nigdy w żadnym z powyższych gwiazdozbiorów. Jednakże starożytni astronomowie, polegając li tylko na doświadczeniu zmysłowym, byli pewni, że istotnie zakreśla ono w ciągu roku drogę dokoła nieruchomej ziemi, przechodząc kolejno przez wszystkie owe znaki. Z błędu tego wyprowadził nas dopiero Kopernik i udowodnił, że całe powyższe zjawisko staje się zupełnie zrozumiałem, jeśli tylko przypuścimy, że słońce, jako środek planetarnego układu, pozostaje na miejscu, ziemia zaś oprócz ruchu wirowego dokoła osi, posiada inny jeszcze, niezależny odeń ruch postępowy dokoła tego wspólnego środka i dokonywa całkowitego obiegu w ciągu jednego roku.

Dla dokładnego zrozumienia tych pozornych zjawisk, jakie powoduje postępowy ruch ziemi dokoła słońca, nie powinniśmy zapominać o jednej, nader ważnej w danym razie okoliczności, na którą musimy tu zwrócić szczególniejszą uwagę. Okoliczność ta na tem polega, że pomimo olbrzymich różnic w odległościach gwiazd stałych i planet, widzimy je jednak zawsze jakby na jednej kulistej powierzchni, zwanej sferą niebieską. Mówiąc inaczej, oko nasze dostrzega w danym razie li tylko *kierunek*, w którym bywa widzialną ta lub owa gwiazda, różnic zaś odległościowych wcale odróżnić nie może. A zatem, gdybyśmy mieli, dwie lub kilka nowych gwiazd niezmiernie odległych jedna od drugiej, ale położonych względem nas na jednej linii wzrokowej (czyli jedna poza drugą), to dla naszego oka zwałyby się one w jeden punkt świetlany. Kiedy różnice kierunków, w których widzimy kilka gwiazd, są nieznaczne, wówczas dostrzegamy je jako ścisłą grupę świetlanych punktów, złożonych tuż jeden obok drugiego, jakkolwiek istotne różnice odległościowe, mogą tu być również niezmiernie wielkie. Otóż wyobraźmy sobie, że przy danem stosunkowym położeniu słońca i ziemi, w rocznym obiegu tej ostatniej, widzimy słońce w pewnym kierunku, w takim, na przykład, w jakim widzimy podówczas gwiazdozbiór Ryb. Rzecz oczywista, że przy takich warunkach wyda się nam, iż słońce znajduje się istotnie w tym właśnie gwiazdozbiórze i wraz z nim wschodzi i zachodzi.

(d. n.)

## PRZYSŁOWIE W OBRAZKACH.

(Dokończenie).

### OBRAZEK II-gi.

(Jadzia siedzi przy oknie z książką w ręku).

**Natalcia** (wbiegając do pokoju). Jak się masz, moja biedna samotnico?

**Jadzia**. Tak dobrze, że nawet nie mogę zrozumieć, dla czego mnie żałujesz. .

**Natalcia**. Jakto! a ta chusteczka na twarzy! a te dwa tygodnie zamknięcia w mieszkaniu?

**Jadzia**. Chusteczkę mogę już zdjąć choćby zaraz, a te dwa tygodnie zamknięcia przeszły mi jakoś lepiej, niż się spodziewałam.

**Natalcia**. Ależ ten szkaradny ból zębów musiał ci porządnie dokuczyć.

**Jadzia**. O! przyznaję, że szkaradny! Ale z drugiej strony nie żałuj mnie, bom go sama sobie jakby umyślnie spowodziła.

**Natalcia**. A to jakim sposobem?

**Jadzia**. Najprostszym w świecie. Oto mając już od trzech dni głowę zajętą strojami, otworzyłam okno i przez pół godziny wyglądałam na ulicę, nie mogąc się doczekać Anusi, z moim kostiumem.

**Natalcia**. I zamiast niej, doczekałaś się bólu?

**Jadzia**. Nie tak zaraz. Pocziwa dziewczyna wróciła jeszcze w samą porę, ażeby mi raz ostatni przymierzyć ten kostium. Na sam jego widok podskoczyłam na łokieć od ziemi. Gorsecik jak ulany, spódniczka czysty obłoczek, nazywana tak samo jak fartuszek wstążeczkami. Aż głowę straciłam z radości, ujrawszy to wszystko na sobie. Biegałam z pokoju do pokoju, nie wiedząc w którym zwierciadle się przejrzeć, przyczem wcale niepotrzebnie zgrzałam się, jak w łaźni. Mama nakoniec znecierpliwiona moją wesołością, kazała mi się przebrać i zająć czem innem. Biegnę tedy napowrót do mego pokoju i...

**Natalcia**. I... naturalnie zaponinasz w twojem roztargnieniu, żeś tam pozostawiła okno otwarte. Teraz już domyślać się reszty.

**Jadzia**. A niechże cię Bóg broni, żebyś się miała kiedykolwiek spotkać z podobną resztą. W nocy już przebudziłam się parę razy, uczuwszy ból zębów z lewej strony i szum w uszach, ale usiłowałam w siebie wmówić, że to przejdzie do rana. Coż znowu? przecie to już tylko dwa dni do balu, a mnie miałoby coś stanąć na przeszkodzie? Tak sobie mówię, a tu tymczasem zaczyna boleć coraz mocniej i już ani myślę o wstawaniu. Nazajutrz zrobiło się bardzo smutno w naszym domu, a ja cierpiałam podwójnie, patrząc na zmartwienie rodziców, co choć wiedzieli, że się sama nabawiłam cierpienia, nie zrobili mi najmniejszego wyrzutu, ale usiłowali je jaknajprędzej oddalić.

**Natalcia**. Ależ jak dotąd, to wcale nie wesoło.

**Jadzia**. Jedyna Natalko! Skądże mogłoby być komukolwiek wesoło, ze spuchniętą twarzą. Ty, to co innego! Musiałaś się właśnie wtedy bawić wymienienie na waszym baliku.

**Natalcia**. Wcale nie tak świetnie, jak sądzisz. Z początku kręciliśmy się trochę, ale niezadługo dorosłe panny pozajmowały nasze miejsca. Za to we czwartek u cieci, to dopiero była zabawa! Dotąd jeszcze jestem zmęczona; wytańczyłam się bo wytańczyłam, kiedy ty tymczasem...

**Jadzia**. Siedziałam smutna i opuszczona! Wszakże to chciałaś powiedzieć? A jednak było choć trochę inaczej. Otóż właśnie w ów czwartek już mnie zęby nie bolały, ale jeszcze było mi bardzo smutno. Mrok już zapadał, kiedy Anusia wchodzi do mego pokoju i podaje mi arkusz papieru, na którym wyczytuję ogromnemi literami:

Dziś we czwartek, dane będzie dla rozweselenia panny Jadwigi Koberskiej przedstawienie pod tytułem:

### ZAKUTA GŁOWA.

OSOBY:

**Bibcia Trzpiotnicka** (pensyonarka).

**Pani Mathesis**, (jej nauczycielka).

Jeszcze nie zdołałam dobrze zrozumieć o co to chodzi, kiedy rozległ się cichy odgłos dzwonka i z za portyery od strony mamy pokoju, pokazała się naprzód dziewczynka, na której od razu poznałam kraciastą spódniczkę i biały fartuszek Anusi, z jasnymi włosami, przewiązanymi niebie-



ską aksamitką, i pomimo znacznie wyższego wzrostu i dziwnych ruchów, łądząco do mnie podobna.

**Natalcia.** Musiał to chyba być twój brat Władzio, który tak do ciebie podobny.

**Jadzia.** Nie, to była panna Bibcia, z całą paką pomiętych zeszytów i książek, które niedbale porozrzuciła w koło siebie na stoliku. W chwilę potem ukazała się pani Mathesis, osoba bardzo poważna, w czarnej, koronkowej chusteczce na głowie i długiej sukni. Po jakimś czasie dama ta, poprawiwszy okulary na nosie, zaczęła zadawać swojej uczennicy rozmaite pytania. Ale nieznośna Bibcia kręciła się na krzeselku i dawała odpowiedzi wręcz przeciwnie temu, o co ją pytano. Scena ta zaciekała mnie coraz bardziej, a kiedy poczeiwa pani Mathesis starała się być coraz względniejszą dla swej uczennicy, nie mogła się w żaden sposób doczekać mądrzejszej odpowiedzi, wtedy ją zniecierpliwiona na tę zakutą głowę, zaczęłam ją powoli wyrywać.

**Natalcia.** Nie trudno się domyślić, że dałaś się w ten sposób podejść Zygmuśowi, który tą komedią pragnął cię ukarać za twoją niechęć do arytmetyki.

**Jadzia.** O! mylisz się, Natalciu, Zygmunt jest zbyt łagodny, ażeby mógł pomyśleć o jakiegokolwiek karze, chciał więc tylko pokazać mi w karykaturze mój własny portret, ażeby mnie zachęcić do poprawy.

**Natalcia.** Twój brat Władzio tak dowcipny i złośliwy, musiał przepyszenie wyglądać w roli Bibci.

**Jadzia.** Tak doskonale, że aż go za to musiałam uściśkać.

**Natalcia.** No, i nauczka nie poszła w las, jak widzę po rozłożonych zeszytach. Zazdroszczę ci w tej chwili, że ci to tak gładko poszło. Ale pozostaje jeszcze jedna okoliczność, nie tak łatwa do wynagrodzenia.

**Jadzia.** Ciekawam jaka?

**Natalcia.** Teraz, kiedy już na nowo rozpoczynają się lekcje, twój kostium już ci się na nic nie przyda.

**Jadzia.** O to już najmniejszy kłopot, bo teraz jestem pewna, że przejdę do trzeciej klasy.

**Natalcia.** Cóż to ma wspólnego z krakowskim ubraniem?

**Jadzia.** To, że w nagrodę pojadę do cioci na wakacje i będę w świeżutkim ubraniu tańczyła na dożynkach, przyspiewując sobie:

Biała sukieneczka, wstążeczka czerwona,

Najlepsza uciecha, kiedy zasłużona!

**Natalcia.** A więc ten szkaradny ból zębów, zawsze się na coś przydał.

**Jadzia.** O! i bardzo, nauczył mnie bowiem oceniać prawdę, jaka się zawiera w przysłowiu, które już sama może ogadnąć.

E. L.

## WZAJEMNA POMYŁKA.

POWIEŚĆ

p. Teresę Jadwigę.

(Dalszy ciąg).

Ta niepewność o przyszłość swoją, codzienne wyziewanie i codzienne zawody rozstroiły w końcu tę spokojną istotę; Cesia stała się drażliwą: każdy żart panny Ludwiki pobudzał ją do łez, poczęła utyskiwać nad swoją rolą, nigdy na jej ustach nie zjawiał się uśmiech, skargi i żale ciągle. Renia nie poznawała jej, serdeczny ich stosunek poczęł chłodzić, a panna Ludwika głośno i śmiało nazywała sierotę „mazgajem.”

— Poznałam się na tej lali od od pierwszego dnia — mówiła w tryumfie do Reni, która nie wstawiała się teraz za Cesią.

Sprytna Marysia spostrzegła natychmiast zmianę w usposobieniu Reni dla sieroty, stała się zuchwałą dla przybyłej, Niemkinią w garderobie ją nazywała. Codzień gorzej było Cesi w domu wuja, coraz częściej zamykała się w swoim pokoju sama, płakała, lub pytała siebie łamiąc ręce.

— Co robić? Co robić?

Pewnego południa, gdy dziewczynka siedziała zatopiona w smutnych myślach u siebie, doleciał ją głośny turkot. Okno jej pokoju wychodziło na główny dziedziniec, podniosła oczy by zobaczyć kto przyjechał i z ust jej wyrwał się okrzyk radości; zerwała się z krzesła i wybiegła z pokoju. Przed podjazdem stała bryczka, na niej siedziała stara dama w czarnym płaszczu i w wielkiej chustce jedwabnej na głowie, była to panna Domicela.

Nie zważając, że to dzień chłodny, bo jesień już szybkim krokiem zbliżała się do Wątownki, Cesia wybiegła, tak jak była, przed dom, i pomogła staruszce wydobyć się z bryczki.

— Już przypuszczałam, że babunia o mnie zapomniała — rzekła, całując pomarszczoną rękę panny Domiceli.

— Codzień myślałam o tobie, ale nie tak to łatwo wybrać się z Lisic — odparła, głaszcząc ciemną główkę sieroty — gdyś Klimuni powiedziała, że się do was wybieram, przyszła jej też ochota; a ona jak się zacznie gdzie wybierać, to rok cały się decyduje: codzień stawało jej coś na przeszkodzie, to katar, to reumatyzm, to migrena. Zbrała mi w końcu cierpliwości; powiedziałam jej dzisiaj, że jadę do chorych na wieś, wsiadłam na bryczkę, aby podejrzeń nie budzić i tutaj zawrócić kazałam.

Cesia uśmiechnęła się i raz jeszcze pocałowała w rękę pannę Domicelę.

— Idź do siebie, ja sama sprawę załatwię, potem cię wezwiemy — rzekła staruszka.

To powiedziawszy, zwróciła się do stojącego w sieni służącego:

— Powiedz panu, że chciałam się z nim widzieć — dodała — no, idźże do siebie — rzekła do Cesi następnie.

Długą, nieskończenie długą wydała się Cesi godzina, którą babka Domicela spędziła w pokoju pana Wątownskiego; wreszcie ktoś zastukał do jej drzwi, a gdy je otworzyła, Jan oznajmił, iż „jaśnie pan prosi panią do siebie.”

Pospieszyła z bijącym sercem i zarumieniona od wzruszenia, weszła do pokoju.

— Mam żal do ciebie Cesi — odezwał się pan Wątownski do niej zaraz na wstępie — w moim domu mieszkasz, a masz większe zaufanie do babki, niż do mnie.

Cesia oczy spuściła.

— Ot i od wymówek kuzyn zaczyna, a prosiłam, byś tego nie robił — rzekła panna Domicela — nie wierzysz mi widocznie. No, powiedz kochanko, jak było, może tobie prędzej uwierzy.

— Babka Domicela sama mówić ze mną zaczęła o tem, iż powinnam wyrobić sobie własną pracę stanowisko niezależne — odezwała się nieśmiało Cesia — słowa jej trafiły do mego przekonania.

— Więc chcesz uczyć się ogrodnictwa? — zapytał pan Wątownski.

— Tak — odrzekła Cesia.

— A ja chętniej na ten rodzaj pracy, niż na inny zgodzę się dla ciebie, bo ten nas nie rozłączy — odparł pan Wątownski.

— Siadaj obok nas i posłuchaj, co powiemy.

Cesia zajęła jedno z krzeseł, a on chrząknął i tak ciągnął dalej:

— Gdy wykwalifikujesz się na porządną ogrodniczkę, wydzierżawię ci mój sad, kto wie, może nawet korzystny zrobię na tem interes — dodał z uśmiechem.



Smutne oczy dziewczynki rozjaśniły się, pocałowała z wdzięcznością rękę pana Wąrowskiego, on był widocznie wzruszony, pogładził ciemną główkę sieroty i z miłością nieklamana spojrzął w jej śliczne oczy.

— Obawiam się, że mój dzierżawca rzuci mnie niedługo i pojedzie pracować dla młodszego pana — rzekł żartobliwym tonem.

— Ktoby tam chciał jakąś Freydenównę na dzierżawę — odparła Cesia ze smutnym uśmiechem.

Pan Wąrowski objął Cesię, pocałował ją serdecznie w czoło.

— Panna Domicela ma słuszość; trzeba, żebyś wyrabiała sobie niezależne stanowisko — rzekł stanowczym tonem — lepiej ci będzie na świecie, gdy będziesz mogła powiedzieć sobie: „Nie zależę od nikogo.”

Po odejściu panny Domiceli, która bardzo się spieszyła do Lisic, przy obiedzie pan Wąrowski oznajmił córce i pannie Walickiej o projekcie Cesi. Renia widocznie się zmartwiła, Ludwika zdziwiła.

— Więc rzucasz nas — rzekła pierwsza z wymówką.

— Nie na długo — odparła Cesia — może za rok powrócę; wuj obiecał, że wydzierżawi mi tutejszy sąd.

— W przeciągu roku myślisz wyuczyć się ogrodnictwa; no, no, nie potrafiłabym tego dokonać tak prędko — rzekła Ludwika tonem ironicznym.

— Więc chcesz, by jeszcze dłużej siedziała w Warszawie — gniewnym tonem odezwała się Regina.

Cesia pochyliła się do niej.

— Uproszysz ojca, by przyjechał z tobą w karnawale do Warszawy — szepnęła — zabawimy się kilka razy wesoło.

Projekt ten rozjaśnił zasępione czoło Reginy.

— Czy my odwieziemy Cesię, tatuniu? — zapytała.

— Za dużo mam obecnie zajęć, nie mogę tego uczynić — odparł pan Wąrowski — odwiedzimy ją za to w karnawale; teraz pojedzie z babcią, która ma jakiś ważny interes do załatwienia jednocześnie. Panna Domicela umieści Cesię u krewnej jej ojca, pani Kantowej; dziś jeszcze napisze do niej z tą propozycją, nie wątpimy, iż pani Kantowa odmownej odpowiedzi nie przyśle.

Cesia próbowała przypomnieć sobie ową ciotkę i w wyobraźni jej stanęła kobieta lat średnich, otyła, gadatliwa niezmieranie; przypomniła sobie i to jeszcze, że dzieckiem będąc przypatrywała się zawsze bardzo ciekawie tej ciotce, gdyż stanowiła ona rażące przeciwieństwo z jej matką, pełną powagi i dystynkcji.

Dzień ten zbliżył na nowo Reginę z Cesią, roily teraz obie o Warszawie; pierwsza, jak bawić się będzie, druga, jak pilnie pracować. Cesia przestała też być drażliwą, wprawdzie wyczekiwała niecierpliwie odpowiedzi ciotki Kantowej, lecz o przyszłość była teraz spokojną. Renia nie gniewała się na nią, iż wyrывa się z ich domu, miała za to w perspektywie bał w ratuszu, więc i ona niecierpliwie odpowiedzi wyglądała. Panna Ludwika zaprzestała żartów złośliwych, służba stała się znowu uprzejmą dla sieroty,

jednem słowem postanowienie Cesi, zdobyło jej widocznie przychylność wszystkich.

Nadszedł nareszcie dzień wyjazdu: pani Kantowa napisała bardzo serdeczny list nie tylko do panny Domiceli, lecz i do Cesi; wynagrodzenia za pokój i życie przyjmując nie chciała.

„Cesia swoim przyjazdem ożywi nasz smutny dom, będzie dla nas starych promyczkiem złotym; gdzieżbym jeszcze pieniądze brać miała, gdy jej tyle zawdzięczać będę” — napisała do panny Domiceli.

„Przybysz moja ty ptaszyno, zastąpisz mi Elę, którą nas odbiegła; jak się cieszę na twój przyjazd, tego słowami nie wyrażę,” wyczytała Cesia w swoim liście i z całą otuchą zabrała się do pakowania rzeczy.

Żegnana serdecznie przez wszystkich w Wąrowsce, w ostatniej chwili płakała się wszakże trochę, ale w powozie odzyskała niebawem humor i roić poczęła, jak będzie pracowała wytrwale, żeby po roku móż wrócić do Wąrowski i stać się wujowi pomocną.

## ROZDZIAŁ IV.

Pani Kantowa była ciotecznią siostrą ojca Cesi.

Rodzina pana Kanta i rodzina Menklów, z której ciotka Cesi pochodziła, były mieszczańskiego pochodzenia; nie używały więc dodatku „von” do którego mieli prawo Freydenowie; lecz były to rodziny bardzo zamożne.

Pan Kant, przemysłowiec, mawiał zawsze: „Gdy umrę, ludzie dowiedzą się dopiero, ile to człowiek zebrać może, kiedy pracuje i oszczędza.” Lubo majątni bardzo, prowadzili jednakże życie skromne i nie wystawne, dla tego też panna Domicela postanowiła umieścić u nich Cesię; chciała, aby dziewczynka przekonała się, że nie wszyscy otaczają się zbytkami, jak w Wąrowsce. Znała przytem panią Kantową jako kobietę ząną i życzliwą wielce sierocie, taką też była w istocie. Gdy odebrała list z propozycją panny Domiceli, ani chwili nie zastanawiała się nad tem, czy jej nie będzie niewygodnie z tym nowym gościem do innego życia przyzwyczajonym, powiedziała tylko sobie: „trzeba dopomódz biednemu dziecku.”

I ożywiona tą myślą, pobiegła natychmiast do męża, który odpoczywał właśnie w swoim pokoju, paląc fajkę na długim cybuchu.

— Wiesz co, Wilhelmie? — rzekła — miałam list od panny Domiceli Wąrowskiej, prosi, żeby mogła zamieszkać przez pewien czas u nas Cesia Freydenówna, pamiętasz, ta mała, córka kochanego Gucia. Dziewczynka nie ma majątku, chcą aby się ogrodnictwa nauczyła, będzie się uczyć w Warszawie...

(d. c. n.)

## PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii kwartalnie zlr. 1 cent. 75 (3½ korony). — W Prusach: kwartalnie mar. 3.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

**TREŚĆ:** Van Dyck (z rycinami). — Z powrotem, wiersz przez Irenę Mrozowicką. — Jan Niewdźdyd, powieść z dawnych czasów przez Zuzannę Morawską (c. d.) — Rycina do pow. Trzydzieści lat wśród dzikich. — Pogadanki z astronomii, przez Pawła Trzcinińskiego. — Przysłowie w obrazkach. — Wzajemna pomyłka, powieść p. Teresę Jadwigę. — Dodatek: Być może (z ryc.) — Pogadanki naukowe przez A. Z. — Ciotka Iza. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Trzydzieści lat wśród dzikich, przygody Ludwika de Rougemont, opracowała dla młodzieży Walerya Marrené.

Redaktorka Ludwika Hauke. Дозволено Ценаурою. Варшава 16 Августа 1899 г. Wydawczynie Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.



# WIECZORY RODZINNE



## BYĆ MOŻE.

— Być może, iż zaginęła na poczie — mówił ojciec.

— Być może listonosz oddał ją innej jakiejś małej dziewczynce — odezwał się starszy brat Józio.

— Być może, rozbiła się na drobne kawałki — przekomarzył się braciszek Fredzio.

— Wszystko być może, być może, być może! — powtarzała z płaczem mała Witunia. Tak cieszyła się na nową lalkę, którą jej babunia jako wiązanie na imieniny przysyłała, a lalki dotąd nie było.

— Znajdzie się może jeszcze — pocieszała matka.

— Odszukamy ją z pewnością — zapewniał Fredzio.

— Musiała powędrować do kraju „zgubionych zabawek?” — wtrącił Józio.

— Gdzie to ten kraj „zgubionych zabawek?” — dowiadywała się Witunia.

— Zapytaj o to wróżki — odparł starszy brat, a zabrawszy książki i kajety, poszedł odrabiać lekcje.

— Wy zaś — rzekła matka do młodszych dzieci — możecie się przejść teraz i zabawić trochę.

— Chodź, siostrzyczko! — zawołał Fredzio, i wzięwszy się za ręce, wyszli oboje.

— Takbym chciała wiedzieć, gdzie ten kraj „zgubionych zabawek” — mówiła Witunia, idąc przez ogród. — Gdybyśmy jaką wróżkę spotkać mogli! Józio powiedział, że od niej się tego dowiem.

Dochodzili właśnie do furtki ogrodowej, którą Fredzio otworzył.

— Gdzie my idziemy? — zagadnęła Witunia.

— Poszukać wróżek — odparł braciszek. — Niania mówiła, że one o północy przy księżycu tańczą pod drze-

wami, a w dzień odpoczywają, kryjąc się niby pod parasolem, w cieniu dużych mucharów.

— Skąd niania wiedzieć może, gdzie wróżki tańczą, czy je kiedy widziała?

— Musiała chyba widzieć, bo mi opowiadała wczoraj, jak wyglądają cudowne laseczki wróżek. Gdybyśmy choć taką laseczkę znaleźć mogli!

— Nie chodźmy tędy! — zawołała naraz dziewczynka, zatrzymując brata — przejdźmy lepiej po drugiej stronie parkanu. Tam na polu pasie się duży baran z rogami; nie zbliżajmy się do niego!

— Co mi tam baran zrobić może, ja go się wcale nie boję — dowodził odważny Fredzio. — Widzisz — odezwał się po chwili — tam coś białego leży pod drzewem; może to właśnie laseczka o której mówiła niania. Ale tam też ktoś siedzi.

— Jakaś stara babka. — To ona pewnie jest wróżką — zauważył chłopczyk — chodźmy ją zapytać.

— Kiedy ja się boję — mówiła Witunia.

— Eh! głupstwo! kto by się bał starej babci. Jeśli nie chcesz, pójdę sam i rozmówię się z nią.

Ale chociaż Fredzio udawał zucha, gdy posłyszał starą kobietę, mruczącą coś pod nosem, zląkł się i ukrył za krzakiem. Nabral dopiero odwagi, kiedy zobaczył, że staruszka, zarzuciwszy węzełek na plecy, odeszła z pod drzewa wolnym krokiem.

Po chwili chłopczyk z wesołym okrzykiem pochwycił przedmiot leżący na ziemi.

— Co to jest? — zapytała siostrzyczka, która zaraz ciekawie przybiegła.



— Patrz, wśród tych wielkich mucharów, leżała biała laseczka, zapewne jest to laska czarodziejska; teraz będziemy mogli otrzymać wszystko czego zapagniemy. I rzekłszy to, zawrócił w pole.

— Czyż nie widzisz, jak ten straszny baran rogów nadstawia — wołała Witunia.

— Chodź śmiało; nie nam się złego nie stanie. Zobaczysz, jak baran będzie pokorny, skoro tylko zobaczy naszą laseczkę, a gdy mu jeszcze wierszyk zadeklamuję, którego mnie wczoraj mama nauczyła... i stanąwszy odważnie począł mówić:

Błysnął złotem brzask poranku,  
Drzewa się zachwiały...  
Do mnie! baś, baś, mój baranku.  
Mój srebrzysto biały!  
Śmiało! śmiało!... ja nie zrobię,  
Przykrości ni szkody —  
Świeżą trawkę podam tobie,  
I wiaderko wody.  
Trawkę rwałem tam, na łące  
Lesistego stoku,  
Napój dały fale drżące  
Srebrnego potoku.  
Gdzie się kłóci bezustanku  
Z biegiem nurt zuchwały. —  
Do mnie!... Baś, baś, mój baranku!  
Mój srebrzysto biały!

Potem trzymając zawsze w ręku drogocenny pręcik, szedł prosto na spotkanie barana; ten jakiś czas stał nieruchomie, jakby słuchał co Fredzio mówił, potem głośno zabeczał, zawrócił i uciekł w pole.

— Hurra! — zawołał Fredzio uradowany. — A teraz wracajmy do domu i zabierzmy z sobą laseczkę. Od niej dowiemy się, gdzie szukać twojej zaginionej lalki.

Witunia jednak obejrzawszy się za siebie, zawołała:

— Patrzaj, staruszka wróciła pod drzewo i szuka czegoś po ziemi; pewnie laseczki, którą zabrałaś.

— Laseczkę znalazłem, więc jej nie oddam — mówił Fredzio, otwierając furtkę do ogrodu.

— Ależ Fredziu, mama nas uczyła, że cudzej własności nie można sobie przywłaszczać.

— Pytanie, czy to jej laseczka — utrzymywał Fredzio — przytem pamiętaj, że ta laska ma nam wskazać gdzie się zapodziała twoja lalka.

— Cóż robić, zgubę starej babce oddać trzeba.

Wzięła więc z rąk brata kijek i pobieгла z nim do staruszki.

— Czy szukacie tej laseczki? — zapytała grzecznie. Stara kobieta wyprostowała się i podeszła do dziewczynki.

— Może jesteście wrózką? — pytała Witunia. — Jeśli tak, to powiedzcie proszę, gdzie szukać lalki mojej?

— Ach, znalazła się! — zawołała staruszka, wyciągając ręce po swoją zgubę.

Witunia uradowana wróciła do brata.

— Lalka znalazła się! — wołała zdaleka.

— Dzieci! — rozległ się głos matki z progu domu.

— To pewnie moja lalka! — mówiła uszczęśliwiona Witunia, widząc duże pudełko w ręku matki.

— Tak jest, kochanko — odparła matka — to twoja lalka. Położono zły adres na pudełku, dla tego później cię doszła.

— Widzisz więc — dowodził Fredzio — że stara babcia była wrózką, skoro przepowiedziała, że lalka się znajdzie.

— Być może — odparła Witunia.

— I być może — dodała matka, której dzieci o całym zajściu opowiedziały — że znaleziona lalka jest nagrodą za to, iż pamiętaliście, że cudzej własności przywłaszczać sobie nie wolno.

A. Z.

## POGADANKI NAUKOWE.

### IV.

Oprócz komórek, o jakich już mówiłam, są jeszcze inne, podrzędniejsze, „naczyniami” zwane. Naczyn takich, żadna młodziutka roślina nie posiada. Nie mają jej również ani wodorosty, ani grzyby, ani pleśnie, które takie do roślin należą. Te więc rośliny, które tych naczyń nie mają, nazywają się prosto komórkowemi. Te zaś, które i komórki zwykłe i naczynia mają, nazywają się naczyniowatemi.

Naczynia powstają wtedy, gdy w pewnej ilości komórek, stojących jedna nad drugą, poznikają ścianki stykające się i utworzy się długa rurka. Zupełnie jakbyś wziął kilkanaście naparstków, włożył jeden w drugi i wybił w nich denka. Zrobiłaby się długa, wązka rurka i nazwalibyśmy ją naczynkiem.

W roślinie naczynia takie, od kształtu komórek, z których się złożyły, bywają rozmaite: kreskowane, kropkowane, obrączkowane i t. d. Nie mają one jednak wielkiego znaczenia, bo nie zawierają tych składników, które są w zwykłej komórce. Na wiosnę mają w sobie trochę roślinnego soku, a później są puste. Czasem po kilkanaście takich przytula się do siebie i tworzy „wiązki naczyń.”

Niektóre jednak rośliny mają inne naczynia, powstałe z połączenia przestworów między-komórkowych. W naczyniach takich, wyłożonych błonką, znajdują się t. zw. mleczce. Masz tu liść maku i jaskółczego ziela. Patrz, złamałam mak i pokazał się sok biały, łamię jaskółcze ziele i płynie sok pomarańczowy.

Widziałas też w maju pełno żółtych, strzępiastych kwiatków, podobnych do wielkich stokrotek.

— Czy te, co to z nich potem wyrasta puchowa popielata kuleczka?

— Te same. Jest to „dmuchawiec.”

— Ach, to już wiem, dmuchawiec, bo jak dmuchnąć, to się kulka rozwieje. Gdy zrywałem te kwiatki to na palcu miałem żółty sok. Marysia ostrzegała mię, żeby nim oczu nie potrzeć.

— Bardzo słusznie, ale nikt z was nie domyśla się



nawet, że z takiego soku może być gutaperka, a z niej piękna piłka.

— Naprawdę?...

— Zupełnie naprawdę. W Ameryce rosną drzewa całe taki sok wydające, nazywa się on kauczukiem. Suszą go, wygniatają i fabrykują na rozmaite wyroby.

— Jakież też to wszystko ciekawe, co się w tych roślinach znajduje. Tyle już w życiu nazrywałem kwiatów, a nie śniło mi się nawet, co one w sobie zawierać mogą.

## Ciotka Iza.

(Dalszy ciąg).

— A jak się jednak kto zgłosi?

— Ha, jeśli to będzie rodzina, to jej będę musiała oddać dziecko, choć, Bóg mi świadkiem, że mi to przyjdzie ciężko!

Ksiądz uśmiechnął się, znał on oddawna ciotkę Izę, wiedział, że prędzej samaby od ust sobie odjęła, a dziecku nie zrobiła krzywdy, ale się lubił przekomarzać, zwracał się więc z tem do dzieci, a zwłaszcza do małej Niny i mówił:

— No, mała, ubieraj się, bo cię zaniosę daleko, daleko do ludzi, ciotka Iza już cię nie chce, no, prędzej, zwijaj się, chodź!

Wtedy mała patrzyła wystraszonemi oczkami dokoła, biegła do ciotki, wtulała swą jasną główkę w jej suknię i z płaczem prawie mówiła:

— Nie chcę, nie, zostanę, ja kocham ciotkę Izę, ja będę grzeczna, nie pójdę.

Oczy ciotki zachodziły łzami ze wzruszenia, przyciskała ją do siebie, mówiła, że ksiądz tylko żartuje, że jej nikt, nigdy od niej nie odbierze. Wtedy dziecko podnosiło w górę swe modre oczęta, zdawało się chwilę namyślać i pytało:

— A mamunia?

Ciotka nie zdążyła jeszcze odpowiedzieć, ona zaś mówiła dalej:

— Mamunia pojechała daleko, daleko, ale wróci i tatunio także wróci. Nina kocha wszystkich i ciotkę Izę i dzieci.

— I mnie, i mnie? — pytały jedno po drugim — czy Nina kocha nas wszystkich naprawdę?

Zrywała się z kolan, biegła do nich i każde z osobna obejmowała za szyję!

Tak więc pomału wkradła się w serca wszystkich. W białym domku stała się pierwszą osobą. Cała miłość dzieci przeniosła się teraz z ciotki na Ninę, pieścili ją i psuli wszyscy, nie wyłączając księdza proboszcza, państwa Zalińskich, a nawet i dziewcząt wiejskich. Te wracając czy to od roboty z pola, czy biegnąc do miasta, zatrzymywały się zwykle przy sztachetach ogródka, a gdy ciotka zapytywała, czego chcą, śmiejąc się odpowiadały:

— A to szłyśmy przez las i łąbierały trochę jagódek dla sierotki.

Sierotka wtedy biegła, zapychała buzię soczysto mi poziomkami i mówiła:

— Agatka zbierała jagódki dla Niny, Agatkę Nina kocha bardzo!

I tak szczęśliwie dzień za dniem schodził. Dawny tryb życia w białym domku w niczem się nie zmienił; tak jak dawniej dziewczęta przychodziły na naukę, dzieci na zabawę, a te ostatnie ścigały jeszcze liczniej nieraz, bo zabawa z tą śliczną, białą sierotką, jak ją nazywały, wydawała im się prawdziwem szczęściem.

Chłopcy zaprzęgali się do wózka i wozili ją w ogrodzie, Stasiek Kaliniak, syn stolarza, przynosił z warsztatu ojca dużo maleńkich białych deseczek i ustawiano z nich prześliczne domki. Kazia z Marychną szyły sukienki dla lalki, a ciotka Iza wśród tego dziecięcego światka, chodziła od jednego do drugiego. To naprawiała spuszczone oczko w pończoszce Amelki, to pokazała Józsi, jak trzeba uszyć rękaw do koszulki, to skarciła Helenkę, że brzydko pisze.

A o wszystkim wiedzieć musiała, nic nie uszło jej bystrego oka. Bywała nawet surową, dzieci dobrze wiedziały, czego należało się wystrzegać, a jeśli które zasłużyło na karę, było pewne, że prośba nie pomoże, że ją ciotka z całą sumiennością wykona. Bo jakże mogłoby być inaczej, wszakże i nagród udzielała pilnym i dobrym. Mała Nina pod tym względem nie stanowiła wyjątku. Gdy się rozkaprysiła, a miała brzydkie zwyczaj, kłaść się i bić nogami o ziemię, ciotka i względem niej okazywała się surową. Zabierała ją z sobą do pokoju, nie pozwalając bawić się z dziećmi i póty trzymała, póki mała nie przyszła sama przeprosić i nie przyrzekła poprawy. Marychna Zalińska często wstawiała się za nią do ciotki, chcąc uniewinnić i wyprosić od kary, ale ciotka bywała niewzruszoną.

— Moje dziecko — odpowiadała — źle trzeba karcić, bo inaczej gdybyśmy w dzieciach nie wypleniali złych skłonności i wad, w przyszłości wyrosłoby z nich źli ludzie.

— Tak — odpowiadała Marychna — ale Nina jest sierotą.

— Tem więcej jestem odpowiedzialną za jej przyszłość; dostała się wyjątkowo pod moją opiekę, więc też tak postępować z nią muszę, abym nie tracąc jej miłości i przywiązania, wyrobiła w niej poczucie sprawiedliwości i poznanie złego i dobrego. Ponieważ Nina jest sierotą, tem więcej powinna być dobrą, łagodną, wyrozumiałą, bo niewiedomo, co ją w życiu czeka, może przeznaczenie każe jej w przyszłości dawać sobie radę samej, a wtedy z tysiącami wad, niewykorzestowaniem za młodu, z krnąbrnym i upartym charakterem cóżby poczęła? Każdy odrzuciłby ją od siebie, każdy unikał.

Te i tym podobne dowodzenia przekonywały Marychnę, a gdy Nina po odsiedzianej karze przychodziła z mokremi jeszcze rękami, w których ostatnie krople łez drżały, całowała w rękę i szeptała, że grzeczną będzie, tylko niech już wróci do dzieci. Marychna tryumfująco wołała:

— A widzi ciocia Izia, a widzi, Nina przeprosiła, Nina dobre, kochane dziecko.

J. Piasecka.  
(d. c. n.)



## ZAGADKA.

Przez stałego prenumeratora.

Oto co szczególnego ma zagadka mieści:

Czy wprost, czy na wspaniałą czytasz masz nazwę powieści,  
Która nam z dziejów naszych epokę przedstawia,  
I zarówno nas uczy, jako też zabawia.  
Dodam, że jest utworem autora sławnego,  
A zagadkę przeznaczam dla Władzia małego.

## ARYTMOGRYF.

p. Laszkę dla P. z P.

- 1) 18, 25, 24, 27, 10. Roślina pnąca.
- 2) 25, 13, 11, 21, 4, 11, 19, 25, 24, 14. Współczesna po-  
[wieściopisarka polska.
- 3) 10, 14, 17, 14, 15, 14, 3. Broń turecka.
- 4) 1, 14, 16, 14, 4, 11, 21, 19. Miasto w Turcyi Azyat.
- 5) 8, 1, 8, 26, 23, 25. Łodyga trawy.
- 6) 16, 22, 11, 21, 22, 16. Miejsce zbiorów naukowych lub  
[sztuk pięknych.
- 7) 5, 22. Dwie samogłoski.
- 8) 11, 14, 13, 14, 11. Przysłówek czasu.
- 9) 14, 13, 1, 21, 3, 5. Góry we Francyi.
- 10) 3, 14, 13, 19, 25, 17, 5, 19. Środek odurzający.
- 11) 2, 11, 21, 13, 14. Dopływ Elby.
- 12) 16, 14, 15, 21, 7, 7, 14, 3. Podróżnik portugalski.
- 13) 2, 4) 21, 17. Rzeka zauralska.

Zastąpić liczby literami, aby pierwsze i końcowe litery utworzonych wyrazów złożyły tytuły dwóch nowell Sienkiewicza, złączonych spójnikiem i.

## ŁAMIGŁÓWKA W KRATKACH.

p. Radomiaka.

*Makart*  
2 ba am  
ko ba et  
ka na ta  
i ba la  
ko ka 9

W kwadracie o 6-ciu kratkach ułożyć wyrazy, aby litery oznaczone liczbami złożyły nazwę dopływu Dunaju. 1) Słynny współczesny niemiecki malarz. 2) Król izraelski. 3) Instrument muzyczny. 4) Kraj w półn. Ameryce. 5) Miasto w Rosyi

n. m. Bałtyckiem. 6) Cnota chrześcijańska.

Sylaby: Am—bo—ba—da—kart—kor—ka—ko—li—ma  
na—net—po—ro—ra—wa.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 33-go

Zagadki: Echo.

## Łamigłówni kryształowej:

M  
l i s  
b a n a n  
M i n e r w a  
m o r w a  
e w a  
a

## Łamigłówni sylabowej:

- 1) Olimp. 2) Głagolica. 3) Newton. 4) Inowrocław. 5) Ebro.
- 6) Madrygał. 7) Izeo. 8) Maryenbad. 9) Inocenty. 10) Ej. 11). Cattaro. 12) Żuaw. 13) Epaminondas. 14) Marszałek. 15) Ili.

Ogniem i Mieczem — Pan Wołodyjowski.



## Skrzynka do listów.

Dobrze robisz **Pieszczotko**, że zawnazas przygotowujesz się do rozpoczęcia powakacyjnych nauk, powtarzając kurs przeszłoroczny, aby mieć go świeżo w pamięci. Kto sumiennie zabiera się do spełnienia obowiązku, temu ów obowiązek łatwym i przyjemnym się wyda. Mamy też nadzieję, że przekonawszy się po pierwszej twojej odezwie, jak chętnie korespondujemy z naszymi młodymi czytelnikami i w każdej chwili jesteśmy gotowi służyć im słowem dobrej rady lub żądaniem objaśnienia, nie będziesz się ociągała z napisaniem drugiego listu. Upagnioną komedyjkę niebawem drukować będziemy w Wieczorach.

Żałujesz **Pensyonarko** kończących się wakacyi, nie pomnając, że wypoczynek jedynie po pracy przyjemny być może, a długa bezczynność nawet rozrywką i zabawą główny urok odbiera. Niema rady! człowiek do pracy stworzony; żadne, choćby najświetniejsze stanowisko od niej nas nie uwalnia, a kto się od tego prawa Bożego uchyla, ten nie zazna uczucia wewnętrznego zadowolenia, jakie znajdujemy w spełnianiu obowiązku. Z ochotą tedy zabierz się do nauki; spostrzeżesz sama, jak przy zajęciu czasu szybko bieżą i jak prędko znowu nadejdą chwile świąteczne. Robotę na konkurs przesłać można tylko pocztą, i to w kraju musi być przesyłka oddana.

Musisz być **Jodełko** wielbicielek natury, skoro zawsze wśród świata roślinnego szukasz godła dla siebie. Pseudonym twój możesz nadal zachować, nie przypominamy sobie, aby inna panienka go używała. Wie o tem lepiej Jaskółka.

**Karolinco**. Zdaniem botaników najwięcej woniejących jest białych kwiatów, mniej od nich zapachu mają czerwone, a najmniej pono jest pachnących kwiatów fiołkowej barwy.

Pytającego **Don-Kiszota** objaśniamy, że w arytmogryfie liczby zastępują litery, których domysleć się należy, jedna i ta sama liczba oznacza też samą literę. Odebraliśmy też układu jego zadania i łamigłówni, nadmieniamy przecież, że z kwadratu magicznego nie możemy korzystać, gdyż podobne i takie same kilkakrotnie już drukowaliśmy.

Dobre rozwiązanie zadań nadesłały: **Jodełka, Pensyonarka Smok, Marysia i Henryś D.**

Młoda osoba poszukuje miejsca do dzieci, jako bona, lub do zarządu domem.—Wiadomość w Redakcyi „Wieczorów.”

W zakładzie naukowym żeńskim z pensjonatem i klasą przygotowawczą

**Bronisławy Golańskiej**

Warszawa. Krucza 37. Zapis uczennic odbywa się codziennie. Warunki przystępne, opieka troskliwa.